

Piotr Millati

Co wkurza Polaków?

Jednak Książki. Gdańskie Czasopismo Humanistyczne nr 3, 121-125

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JEDNAK KSIĄZKI



GDAŃSKIE CZASOPISMO HUMANISTYCZNE

2015 nr 3

Polski mit narodowy

KONFRONTACJE

CO WKURZA POLAKÓW?*

PIOTR MILLATI

Marek Hlasko w *Pięknych dwudziestoletnich* napisał takie oto zdanie: „Żyjąc w Izraelu mieszkalem z najgorszymi szumowinami, nigdy jednak nie spotkałem ludzi tak zrozpaczonych, zwierzęcych i nieszczęśliwych jak w Polsce”¹.

Można tu Hłasce zarzucić przesadę obliczoną na teatralny efekt, ale cokolwiek by nie mówić, nie jesteśmy narodem, który by komuś kojarzył się ze szczęściem, radością, czy choćby poczuciem humoru. Jeśli obcokrajowcy znają jakieś polskie słowo, to prawie na pewno jest to wyraz na „k” – nasz narodowy identyfikator, niepowtarzalny niczym układ linii papilarnych, będący tyleż wulgarnym przekleństwem, wyrażającym gniew na otaczającą nas rzeczywistość, co nieustannym przeklinaniem własnego istnienia, ponawianą w nieskończoność skargą kierowaną do nikogo.

Tymczasem z przeprowadzanych co jakiś czas sondaży niezmiennie wynika, że według własnej oceny jesteśmy jednym z najszczęśliwszych narodów na świecie. W tym

* Tekst jest pisemną wersją wystąpienia wygłoszonego na konferencji „Wściekłość i oburzenie. Obrazy rewolty w kulturze współczesnej”, która odbyła się w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego w dniach 17–18 kwietnia 2012 roku.

¹ M. Hlasko, *Piękni, dwudziestoletni*, Warszawa 1989, s. 13.

solidarnym kłamstwie chyba najlepiej widoczny jest nasz lęk przed zmierzeniem się z prawdą, której nieznośny ciężar zwyczajnie zgniótlby nas, gdyby ją sobie uświadomić.

Jeśli sztukę danej społeczności traktować jako lustro jej duszy, to polskie kino daje wiele do myślenia. Swoje artystyczne wyzyny osiąga prawie wyłącznie wówczas, gdy pokazuje nam, że ludzkie życie jest niczym innym jak odrażającym splotem lęku, cierpienia, samotności, choroby, przemocy, egoizmu, bezsilności i nienawiści. Dla przykładu wymienię tu takie tytuły jak *Dług*, *Plac Zbawiciela*, *Dzień świra*, *Pręgi*, *Rewers*, *Dom zły* czy *Róża*, choć lista ich mogłaby być kilkakrotnie dłuższa. Mistrzostwo świata w kategorii najsmutniejszych filmów w historii kina, według oceny jednego z amerykańskich krytyków, należy do wyreżyserowanej w 1981 roku *Kobiety samotnej* Agnieszki Holland. Każdy bardziej wrażliwy widz musiał go odchorować jak ciężkie zatrucie. Ludzkie nieszczęście wydestylowane tu do postaci czystej esencji działa jak jadowita toksyna, paraliżująca sam rdzeń i wolę życia.

Z czego wynika ta predylekcja do *unhappy endów*? Dlaczego nie potrafimy oderwać wzroku od zatrutej studni, choć woda z niej pita wywołuje torsje? Intuicja podpowiada mi, że stoi za tym jakaś niedająca się niczym przejednać niezgoda na życie, które zostało nam dane tu i teraz. Prawdziwe życie jest gdzie indziej – to przekonanie jest głęboko zakorzenione w umyśle większości z nas. Obalenie komuny, odzyskanie niepodległości, przytulenie się do piersi Zachodu, od której byliśmy przez całe dziesięciolecia odepchnięci i wreszcie, co może najważniejsze – niezaprzeczalny wzrost materialnego standardu życia całego społeczeństwa – nie zmieniło w tej kwestii wiele.

Dławiąca frustracja i będąca jej zewnętrznym przejawem niepoohamowana wściekłość, wciąż są jednymi z najbardziej wyrazistych, choć na co dzień głęboko ukrywanych cech czegoś, co można by nazwać polską duszą. Tak łatwo natknąć się na ludzi przypominających miny przeciwpiechotne z odbezpieczonym zapalnikiem – wystarczy podejść zbyt blisko, aby sprowokować eksplozję. Nie ma chyba wśród nas nikogo, kto nie padłby ofiarą takiego wybuchu agresji albo sam by nie dał upustu tej mrocznej sile. Czasem trzeba tak niewiele jak mała prośba: „czy mógłby pan/pani nie rozmawiać tak głośno, to mi trochę przeszkadza” (to w kinie), albo na ulicy – „proszę posprzątać po swoim psie”.

Jakiś czas temu w osłupieniu przyglądałem się scenie, gdy dwóch kierowców okładało się pięściami na trawniku rozdzielającym pasy ruchu. Porzucone przez nich na ulicy dobrej marki pojazdy blokowały drogę, trzeba więc było czekać do rozstrzygnięcia sporu. I nie chodziło tu o stłuczkę, czyli materialną stratę. Oba samochody były bez śladów uszkodzeń. Prawdopodobnie ktoś kogoś znieważył wulgarnym gestem, prawdopodobnie ktoś na kimś wymusił pierwszeństwo.

Jeśli wściekłość jest u nas zjawiskiem dość pospolitym, to oburzenie występuje dużo rzadziej. Wściekłość jest fizjologicznym rozładowaniem frustracji doprowadzonej do stanu wrzenia, oburzenie to odruch moralnej niezgody na zło, podłość czy niesprawiedliwość. Prawdziwa przyczyna wywołująca wściekłość jest trudno uchwytna także dla osobnika, który daje jej się ponieść. Oburzenie natomiast zazwyczaj jest racjonalne, świadome swego powodu, co rzecz jasna nie znaczy, że musi być słuszne.

Dwa największe wybuchy społecznego buntu w ciągu ostatnich dwudziestu lat to manifestacje w tzw. obronie krzyża przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie oraz protesty przeciwko ratyfikacji umowy ACTA. Oba przybrały postać ulicznych zamieszek. Ich uczestników zdawało się dzielić wszystko. W wielkim uproszczeniu można powiedzieć, że pierwsi to przedstawiciele świata, który wraz ze swymi archaicznymi wartościami odchodzi w konwulsjach i zlorzeczeniu w niebyt, nie będąc w stanie się z tym pogodzić. Drugi to młodzi ludzie, do których już z samego faktu metryki należeć będzie przyszłość, domagający się nieskrępowanej niczym wolności w wirtualnym świecie, najwyraźniej ważniejszym dla nich od rzeczywistego.

Można podejrzewać, że przez wyznawców tezy o rosyjsko-polskim zamachu przemawia ślepa wściekłość, dlatego pozostaną głusi na jakiegokolwiek dowody, które mogłyby podważyć tę urągającą zdrowemu rozsądkowi wersję wydarzeń. Chciałoby się z kolei wierzyć, że przeciwnicy ACTA, wysuwający podczas publicznych debat niepozabawione racji argumenty, są już reprezentantami nowego pokolenia Polaków, słusznie oburzonego faktem lekceważenia ich opinii.

Ale wystarczy zajrzeć do sieci, aby zwątpić w ten optymizm. Fora internetowe to miejsca, w których bez żadnych już masek odsłania się wzajemnie sobie okazywana agresja i nienawiść. Wymiana uwag, między najczęściej bardzo młodymi ludźmi, na temat możliwości technicznych najnowszego ipada czy lustrzanki cyfrowej, niemal z reguły kończy się kanonadą bluźgów i obelg. Tu dobrze widać, że mimo kosmicznych różnic światopoglądowych, internetowy Anonymous i furia spod krzyża nadal pozostają nieodrodnymi synami tego samego narodu.

Najlepszą odtrutką na indywidualne i zbiorowe frustracje, bez względu na to, czy mają one obiektywne przyczyny, czy też wynikają z nieumiejętności wykorzystania tego, co się posiada, są silne, trwałe, pozytywne więzi z innymi ludźmi. Bieda włoskiego Południa ma z tego powodu zupełnie inne zabarwienie niż bieda Podkarpacia. Niestety Polak, ogólnie mówiąc, nie przepada szczególnie za drugim Polakiem. Na co dzień traktujemy się wzajemnie raczej źle niż dobrze. Nie bez przyczyny komedia *Sami swoi* Sylwestra

Chęcińskiego, ukazująca wieczny konflikt między dwiema chłopskimi rodzinami, cieszyła się przez dziesięciolecia taką popularnością. Narodowa wspólnota, którą tworzymy, nie zapewnia nam ani wsparcia, ani poczucia bezpieczeństwa czy solidarności. Powiedzenie „nie ma jak między swymi” pozostaje dla nas pustym frazesem. Najgorszą rzeczą, jaka może się przytrafić Polakowi emigrującemu za pracę, to trafić do firmy prowadzonej przez drugiego Polaka.

Desperackie marzenie milionów Polaków o wielomilionowej wygranej w Lotto podsycane jest nie tyle tęsknotą za wspaniałym życiem, jakie będzie można sobie zafundować za te pieniądze, co pragnieniem uwolnienia się od z reguły przykrych obowiązków i nieznośnych międzyludzkich relacji. Posiadanie fortuny oznacza u nas rzadki komfort absolutnej niezależności od innych, szczęście i satysfakcję, że ma się nareszcie wszystko i wszystkich „gdzieś”. Świetnie to zrozumieli twórcy znanej nam dobrze reklamy, w której szczęśliwiec, wylosowawszy „szóstkę”, wraca na drugi dzień do pracy tylko po to, aby nacieszyć się teraz bezsilną już wściekłością znieawidzonego szefa, któremu może wreszcie prosto w oczy powiedzieć, że „teraz to mu to lotto”.

Niespecjalnie więc się lubimy, choć nie zawsze mamy ku temu prawdziwe powody. Ten brak dobrych wzajemnych relacji sprawia, że wkurza nas praktycznie wszystko, gdyż nie posiadamy naturalnego systemu immunologicznego, który chroniłby przed tym, co Jacek Kaczmarski w jednej ze swych piosenek nazywał „wszystkożerną złością”. Gdy prowadzimy samochód – wkurzają motocykliści, rowerzyści i piesi, gdy jedziemy rowerem – piesi i kierowcy, gdy poruszamy się pieszo – rowerzyści, kierowcy, rolkarze. Wkurzają właściciele psów, dokarmiający uliczne koty i gołębie. Wkurzają nas jednak przede wszystkim ci, którym się powodzi lub są w korzystniejszej niż nasza sytuacji. Ludzie sukcesu wkurzają wszystkich, którzy go nie odnieśli, publicznie znani tych, którzy nic nie znaczą, biednych wkurzają bogaci, rządzonych rządzący, pracowników ich szefowie, młodzi starych, przystojni wkurzają pozbawionych urody, bezrobotni pracujących, ci z Warszawy całą Polskę, jajogłowi prostaków, nieposługujący się żadnym obcym językiem znających języki, zdrowi chorych, weseli smutnych, zadowoleni z życia niezadowolonych i tak w nieskończoność. Najbardziej może jednak nas wkurza bezsilność wobec cudzej bezczelności i jawnego chamstwa, które nie liczy się z nikim i z niczym. *Dzień świra* Marka Koterskiego nadal pozostaje najbardziej przenikliwym studium tego ponurego fenomenu.

Na marginesie warto jeszcze dodać, że Polacy wbrew pozorom nie są jakimiś szczególnym entuzjastami szeroko pojętej polskości. Nie czyni ona ich życia łatwiejszym i bardziej przyjemnym. W naszej kulturze nie znajdziemy zbyt wielu tych obyczajów

i drobnych rytuałów, które mają moc łagodzenia napięć codziennego życia. Jako emigranci Polacy asymilują się wyjątkowo łatwo, a ich urodzone za granicą dzieci, poza posługiwaniem się w łamaną polszczyzną, nie kultywują polskości w żadnej formie.

W tej diagnozie jest jednak coś pocieszającego – w ostatecznym rachunku naprawdę wiele zależy od nas samych. Od niechęci wobec siebie i niezgody na swe życie nie wybawi nas ani gospodarcza koniunktura, ani prospołeczna polityka państwa, ani największe nawet złoza gazu łupkowego. Tak naprawdę potrzeba dużo mniej i więcej zarazem. Bądźmy po prostu dla siebie lepsi. Tylko w ten sposób możemy wyjąć sobie z oczu owo „szkło bolesne”, które zniekształca i oszpeca obraz należącego do nas świata, tylko tak jesteśmy w stanie powyciągać ze swych serc odłamki rozbitego lustra złego czarownika z *Królowej Śniegu*.

ACKNOWLEDGMENTS

Tekst jest pisemną wersją wystąpienia wygłoszonego na konferencji „Wściekłość i oburzenie. Obrazy rewolty w kulturze współczesnej”, która odbyła się w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego w dniach 17–18 kwietnia 2012 roku.